

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 180.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 6 marca 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII.

TREŚĆ NUMERU.

Dawne ubiory i uzbrojenia (drzeworyt) dalszy ciąg. — Kronika tygodniowa. — Opowiadania myśliwskie. — O basztach, murach i bramach starego Krakowa (z czternastoma drzeworytami). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od teatalki. — Z Suwałk do Augustowa (dokonczenie). — Kościół pofranciszkański w Wyszogrodzie (z drzeworytami). — Szachy i rebus.

miała zupełną słusność, jeżeli nie weźmiesz tej książki do ręki.

Czytałem więc, kiedy nagle odgłos dzwonka dał się słyszeć. Wszedł pan F.

Pan F., jest to człowiek w średnim wieku, średniego wzrostu, średniej urody. Część swego życia

przepędził on zagranicą, i Bóg wie gdzie nie był: zwiłzył cały zachód, podróżował w Egipcie, w Chinach, w Ameryce. I umiał się jakoś zaaklimatyzować w każdym z tych krajów w których przebywał. Jako zupełne przeciwieństwo Anglika, co flegmę narodową, wysoki kapelusz, palto nieprzemakalne, rostbeef i dyn

Kronika tygodniowa.

Czytałem właśnie *Czarownicę Micheleta*... Bo przyznaję się że mam słabość do tego autora, pomimo ostrych krytyk jakimi obsypano ostatnie zwłaszcza jego prace.

I nie myśl pani, która w tej chwili rzucając łaskawym okiem na moje niezupełnie sprawozdawczą kronikę, żebym chciał cię zachęcić jakim bądź sposobem do wzięcia tej książki w rękę. Wcale nie: Czarownica Micheleta nie jest dziełem dla kobiet pisanem, chociaż wyłącznie prawie o kobietach tam mowa. Znamioty autor francuzki za bardzo nazywa tam rzeczy po imieniu, dobywa najjaśniejszych kolorów, tu i owdzie nie oszczędza wyznań takich, które tylko w zamkniętych izbach sądowych powinny być słyszane i wydobywa ze zbutwiałych papierów to właśnie, co z umysłu pokrywano cieniem i w zapomnieniu pozostawiano. Wiem dobrze, piękna pani, że ciekawość jest w tobie górującą wadą, że matka Ewa przekazała ci zyłkę do owocu zakazanego, że im bardziej będziemy cię ostrzegać żebyś czego nie czyniła, tém większa chęćka cię weźmie do postąpienia wbrew ostrzeżeniom naszym. Ale co mnie do tego? ja postąpiłem wedle sumienia i oświadczyłem ci żeś Czarownicy Micheleta czytać nie powinna. Gdybyś teraz, nie bacząc na moje przestrogi, wzięła tę książkę do czytania, to już sama sobie winę przypiszesz, jeśli wielu rzeczy w niej nie zrozumiesz. Zresztą i to jeszcze dodam, że Michelet, jak wszystkie autorowie pragnący naginać rzeczy do upatrzonemu z góry systematu, jest tu w wielu wypadkach niesprawiedliwym, zbyt gorąco biorąc w obronę matkę naturę przeciwko tym, co podług niego tak długo ją uciemniał; słowem jest on w tej książce trochę więcej może poganinem, aniżeli we wszystkich swoich innych dziełach. To może pani już cię odstraszy, i powtarzam ci jeszcze raz, będziesz

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 55. *Wiek XVI.* Mężatki wysokiego stanu, w strojach świątecznych. Czepce z bindami, bogato w kamienie i perły ozdobne, złote łańcuchy na szyjach, rękawiczki i pierścienie na rękach. Wierzchnie suknie o długich do ziemi rękawach, kosztownym futrem podbite; pod temi suknie z adamaszku, w rozmaite wzory i barwy. Rys. wz. z ks. rodu Szydł.

wozi z sobą po wszystkich częściach świata, pan F. we Francyi był Francuzem, we Włoszech Włochem, w Ameryce Amerykaninem, a w Chinach prawdziwym mieszkańcem państwa niebieskiego; co mu jednak nie przeszkadzało kochać kraju swego, ani nosić obrazu jego w sercu. Ale w każdym ze zwiedzanych przez siebie krajów, uczył się jakiejś ekscentryczności, którą potem woził z sobą, nie pozbywając się jej, dopóki inna, wydatniejsza, nie zajęła jej miejsca. W Neapolu naprzykład wierzył w wyższość makaronu nad wszelkie inne ziemskie potrawy; z Chin wywiózł uwielbienie sposobu leczenia przez nakłuwanie i napojów gorących przy jedzeniu; z Anglii zaś powrócił zapalonym magnetyzerem. I ta ostatnia mania, jeżeli to manią nazwać można, najdłużej się go trzymała. Za powrotem do kraju przeszczepił ją na nasz grunt i ciągle był tylko zajętem szukaniem indywiduów najlepiej do doświadczzeń magnetyzerskich nadających się. Twierdził nawet że wynalazł już tu trzy jasnowidzace, z których jedna dyktowała recepty po łacinie, jak najbieglejszy doktor, a według pana F., pomyłki popelniane przez nią w mowie Tacyta były właśnie dowodem prawdziwości jej jasnowidzenia. Wielu bardzo, do których, przyznaję się, i ja należałem, wydawało się to dziwnem; sądziliśmy że jasnowidzaca powinna by poprawnością swoją w jakiej bądź mowie, umarłej czy żyjącej, zawstydząć uczonych, co doszli do umiejętności swojej nie natchnieniem, lecz pracą; ale dla niesprawiania przykrości panu F., który uparcie obstawał przy swoich przekonaniach, a którego wszyscy lubimy, dla jego rzeczywistego wykształcenia i wielu sercowych przymiotów, nie objawialiśmy głośno swojego przekonania.

Pan F. wszedł tedy do mnie i stanawszy przed moim stolikiem, spojrzął na książkę leżącą przedemną.

— A... rzekł, czytasz *Czarownicę Micheleta*?

— Jak widzisz, odpowiedziałem. Mój gość skrzywił usta.

— Głupie czytanie, rzekł, głupie czytanie. Michelet baję o tym, czego nie rozumie wcale. To wada wielu ludzi naszego wieku. Samemi przecuciami łatwo sobie wyrobić opinią rozumnego; ale nie na tym wcale rzecz i doskonale to pojmowali przodkowie nasi, nazywając szataną *przecucnikiem*, to jest tym który wiecznie wszystkiemu w co trzeba wierzyć, z góry zaprzecza.

— Wiész dobrze, odparłem, iż co się tyczy książek, trzymam się tego mniemania, że niezawsze z jakim kto przestaje, takim się staje. Czytuję wiele bardzo książek, nie idzie jednak za tym, żebym podzielał zdania ich autorów.

— A to bardzo dobrze, bardzo dobrze, mam bowiem namówić cię do pewnych odwiedzin, które sądząc po książce jaką masz przed sobą, niebardzoby ci się może uśmiechały.

— Jako?

— Znalazłem nową jasnowidzącą, powiadam ci cudo, prawdziwe cudo, jeszcze takiej nie miał w życiu. Kapitalna kobieta, jak powiada Fredro. Prawda że czasem prawi rzeczy niepodobne do wiary; ale wiész że podług mojego systematu te chwile zaciemnienia wyobraźni są właśnie dowodem prawdziwości jasnowidzenia. Zato jak przypadnie na nią chwila szczęśliwa, to już tylko otwieraj uszy a słuchaj. Nie ma dla niej rzeczy nieprzystępnej. Jest to kobieta w zwykłym stanie bez wielkich zdolności, przedź nawet głupia niż rozumna, z bardzo małym wykształceniem, a jak wpadnie w stan swój magnetyczny, to mówi wszystkimi językami, szereg dziejów rozwija się przed nią jak kłębek i przepowiada przyszłość, nie na rok ani nadwa, lecz na sto, na dwieście lat, a nawet i więcej. Dziś właśnie, podług przyrzeczenia jakie mi dała podczas ostatniego snu swojego, będzie mówiła o końcu upływającego tysiąclecia. Powiadam ci, ciekawe, bardzo ciekawe rzeczy. Przeskoczycie wiek cały, to dla niej bagatela. Może pójdziesz ze mną; kilka najzauważalszych osób już zaprosiłem; będziemy pomiędzy samymi znajomymi. Zamknij książkę, ubierz się i pójdz.

— Ale dajże mi pokój, mam ogromną robotę; zaraz tu przyniosą korekty z drukarni, trzeba artykuł pisać.

— E... co ci tam po korektach? one nie zatęchną się przecie, choć trochę poczekają, a artykuł napiszesz najlepszy z tego co ci ona powie. Żebyś przez lata całe suszył mózg, nie wymyśliłbyś tylu filozoficznych poglądów, jakie się z ust tej niewykształconej kobiety wymykają. Pójdziesz, mówię ci, pójdziesz, a choćbyś nie chciał, gwałtem cię zabiorę.

— Pozwólże mi choć dokończyć rozdziału.

— Nie pozwolę, dość już tego czytania. Co ci tam po martwych protokołach, które Michelet wygrzebuje, kiedy żywe dziwy czekają na ciebie? No... bierz palto i czapkę, idziemy.

Trudno się było z nim sprzeczać, wiedziałem bowiem iż nie da mi ani chwili wypoczynku, dopóki nie wypełni jego woli. Więc pomrukując trochę na ten przymus odrywający mnie od zajmującego czytania, wstałem i zamknąłem książkę. Wyszliśmy.

Pani B., jasnowidząca quaestiońska, do której mnie magnetyzer wprowadził, jest bardzo potulną kobiętką, cierpiącego i słabowitego pozoru, raczej brzydka niż piękna. Brak wyrazu na twarzy jej bladej, i zdawałoby się że całe jej życie weszło w oczy wielkie, czarne, powłóczyście, które rzucały czasem dziwnie przenikliwe wejrzenie, niezgadające się z postawą i obejściem się tej kobiety. Nie mogłem w niej odszukać żadnej z tych min pretensjonalnych, których nabierają zwykle kobiety w jej położeniu, skoro dojdą do jakiegoś takiego rozgłosu. Uważają się one zwykle jako istoty wyjątkowe, obdarzone wyższym nad ogół poczuciem i trochę za bardzo pragną grać rolę starodawnych greckich sybill. Ale pani B., szersza a może przebieglejsza od innych, zachowała całą prostotę zwykłej śmiertelniczki, która po skończonym posiedzeniu magnetycznym, idzie z piórkiem obcierać kurz ze sprzętów, albo wydaje rozkazy w kuchni, żeby pieczeń się nie przypaliła.

Zastaliśmy już kilka osób czekających na nas, jak mnie upewnił pan F. Wszyscy prawie byli mi znani osobicie. Pani B. przyjęła nas bardzo uprzejmie, dziękując mi za odwiedzin. Dla mojego towarzysza była ona ze szczególnym poważaniem, jakby dla człowieka nadprzyrodzonego obdarzonego władzą, zdolnego przeważny wpływ wyrzucić na przyszłe jej losy.

Posiedzenie odbywało się bardzo prozaicznie. Ponieważ to było w porze poobiedniej, częstowano nas starym obyczajem kawą ze śmietanką i bułeczką z masłem. Zapijając ów nektar, przypatrywałem się z uwagą gospodyni naszej, krzątającej się koło imbryczków i garnuszków, jak gdyby żadna inna myśl oprócz zwykłych gospodarskich zatrudnień nie powstała jej nigdy w głowie.

Uprzątnięto wreszcie tace, filiżanki i spodki, i pan F. rzekł poważnym tonem, jaki zwykle przybierał kiedy miał do doświadczeń przystępować:

— No—czas już zacząć.

Przysunięto wielki fotel, pani B. zabrała na nim miejsce, i po kilku poruszeniach rękami uczynionych przez magnetyzera, postać jej cała zeszytniała, głowa przechyliła się w tył, oczy zamknęły się.

Towarzystwo nasze składało się z osób, z których niewszystkie może wierzyły w magnetyzm i cudowne jego objawy; ale każdy przynajmniej, nie zaprzeczając z góry, starał się badać i nie potępiać bez przekonania. Milczenie panowało więc głębokie, i każdy z wyteżoną uwagą przysłuchiwał się rozmowie poczynającej się pomiędzy magnetyzerem a magnetyzowaną.

— Czy śpisz już?

— Śpię.

— Czy będziesz mogła odpowiadać na moje pytania?

— Pytaj, a odpowiem.

— Pamiętasz o przyrzeczeniu jakie mi uczyniłaś pozawczoraj?

— Wymień przyrzeczenie. Myśli moje zaćmione jeszcze; w miarę słów twoich, pamięć mi wróci.

— Zapewniłaś nas, że na dzisiejszym posiedzeniu wyjawisz niektóre wskazówki o kierunku jaki przybierze ludzkość po upływie pewnego przeciągu czasu.

— Jezelim to powiedziała, to niewątpliwie dlatego, iż czułam wtenczas że mogę i chcę dotrzymać przyrzeczenia.

— Mów więc.

— Sama z siebie niezdolna jestem mówić. Zadaвайте mi pytania, a będę się starała zadowolić waszą ciekawość.

Zadano jej więc kilka pytań.

Nie powtarzam tu ani tych zapytań, ani odpowiedzi na nie, należały one bowiem do spraw osobistych wielu z nas, których publicznie wyjawiać nie mam prawa. Dość wiedzieć że odpowiedzi udzielone przez jasnowidzącą wydały się nam po większej części zadowolającymi.

— Powiedz nam, odezwał się jeden z nas, jak będzie wyglądała Warszawa za lat dwieście.

— Za dwieście lat Warszawy nie będzie, odpowiedziała jasnowidząca.

— Jako nie będzie? wykrzyknęliśmy wszyscy razem, gotowi już zadać kłamstwo tej prorokini, która śmiała się odzywać wbrew przekonaniu naszemu.

— Nie będzie, bo wówczas cała Polska, tak jak cała Europa, stanie się jedną siecią kolei żelaznych, gęsto powiązanych z sobą i w różnych rozciągających się kierunkach. Wtedy już tylko wzdłuż linii dróg żelaznych będą się rozciągały zabudowania mieszkalne, bez żadnego przestanku. To przyszłe miasta i wsie razem połączone. I nie będą to nawet koleje żelazne, tylko zwyczajne drogi, na których z szybkością pioruna widzę przelatujące lokomotywy, nieporuszone już parą, ale innym jakimś motorem, który rozpoznaje okiem ducha, ale nie umiałabym wam go jasno wytłumaczyć, brak mi bowiem na to stosownych danych w teraźniejszym stanie nauki. A odległość wszelka już wtedy istnieć przestanie, gdyż za pomocą nowego przyrządu telegrafów będzie można rozmawiać w największym nawet oddaleniu, i to nie na piśmie, ale głosem, za pomocą drutów przenoszących wszelkie dźwięki, jak dziś tuby akustyczne. Choć kto nie zechce ruszać się z domu, zdoła jednak być jakby obecnym na przedstawieniu w teatrze o dwadzieścia mil się odbywającym: komunikacja telegraficzna przesła mu odgłos słów aktorów.

— To ostatnie wydaje mi się trochę niepodobnym do prawdy, wyrzekłem lekliwie, nie chciałem bowiem przeszkadzać dalszemu przebiegowi posiedzenia, a wiedziałem że zaprzeczanie wręcz drażni jasnowidzących i do milczenia ich skłania.

— Dlaczego niepodobnym? odpowiedziała pani B. Czyliż dla nas naprzykład jasnowidzących istnieją przeszkody jakie albo przestrzeń? Wszakże to rzecz dowiedziona i tysiącami doświadczeniami sprawdzona, że możemy czytać listy w zamkniętych kopertach i widzieć osoby z którymi wprowadzają nas w komunikację o kilka, kilkadziesiąt, a nawet kilkaset mil odległości. Ale pocóż koniecznie szukać jasnowidzenia? Wszakże w zwykłych nawet warunkach życia zdarzają się takie wypadki.

— Jasnowidząca ma słusność, rzekł jeden z obecnych, zdarzają się takie wypadki. Wszakże kilkanaście zaledwie lat temu miało miejsce zdarzenie z owym więźniem w Belgii, który się chwalił że przez mury widzi. Mnóstwo osób przychodziło do niego w odwiedziny, żeby się przekonać o tym nadzwyczajnym jego darze. Między innymi zjawily się tam raz dwie damy. Na ich widok więzień począł się śmiać i żadnym sposobem śmiechu tego zatamować nie mógł. Spytany o

przyczynę, z początku nie chciał jej wyjawiać. Nareszcie, silniej naglony, rzekł: „Śmieję się, bo jednej z tych pań brak pewnej ważnej części ubrania.“ I rzeczywiście tak było. Dama owa pod suknią nie nosiła wcale... tuniki, i więzień to dostrzegł.

— Ale odeszliśmy od przedmiotu, rzekł pan F., który dość niecierpliwie słuchał tego opowiadania, podczas kiedy na twarzy jasnowidzącej zadane poruszenie nie zdradzało, czy rozumie, albo nawet czy słyszy co w okolo niej mówią. Idźmy dalej. Czy kto więcej ma jakie pytanie zadać?

— Czy nauki, odkrycia, wynalazki pójdą dalej tym olbrzymim postępowaniem, jakim dziś idą? odezwał się ktoś.

— Przedewszystkiem, odrzekła jasnowidząca, mylnie pan twierdzisz, że nauki dzisiaj olbrzymim idą postępowaniem. Dziś my nic nie tworzymy, rozwijamy tylko to, co już utworzono. Wiek nasz jest wiekiem przejsia. Przytęm tkwią jeszcze w nas pozostałości ośmnastego wieku, po którym w pewnym względzie wzięliśmy spadek. Zabardzo ufamy drodze eksperymentalnej i jedynie tylko tej drodze. Dobra ona, niezawodna nawet, ale do pewnego tylko punktu. My zaś zaprzeczamy z góry wszystkiemu, co tylko po za obręb zwyczajności przestępować się zdaje. Magnetyzm zwierzęcy najlepszym jest tego dowodem. Dotychczas jeszcze najznakomitsze zgromadzenie naukowe, jedyne którego wyroki uważamy za nieodwołalne, akademie francuzka, pomimo tylkokrotnych dowodów wątpliwości najmniejszej nieulegających, nie potwierdziła prawdziwości jego objawów. Jakżeż więc dziwić się że ludzie wątpią? Sądźcie panowie, że dzisiaj, w tej chwili, nie czytam w myślach niektórych z was? Słyszac mnie rozprawiającą o przedmiotach, które w zwykłym moim stanie nie są mi dostępnymi, powątpiewacie przecież i sądzicie, że powtarzam lekcya jakiejś mnie nauczono. A jednak tak nie jest. Więcej powiem, ludzie dzisiejsi do tego stopnia trwożliwi są w przypuszczeniach, iż wahają się wierzyć że na tych światach otaczających nas mieszkają istoty nam podobne, obdarzone rozumem i innymi przymiotami, z których my ludzie tak jesteśmy dumni.

— Więc twierdzisz że tak jest? odezwał się młody doktor.

— Nietylko tak jest rzeczywiście, ale więcej powiem: wywierają one nawet niejednokrotnie wpływ na nas, z czego my, niżsi od nich rozwojem ducha, nie umiemy sobie zdać sprawy. Otóż magnetyzm zwierzęcy, ta siła nieokreślona jeszcze dotychczas i nieujęta przez ludzi, jest drogą za pomocą której dojdziemy kiedyś do tego przekonania. Możliwość rozdzielania za życia naszego ducha z ciałem i działanie tego ducha bez względu na objawy cielesne, jest władzą, którą kiedyś ród ludzki posiadał, którą po upływie lat wielu znów posiadać będzie. Dla ducha przestrzeń nie istnieje, więc nikną i zapory rozdzielające światy między sobą. To także wpłynie na zmianę wielu twierdzeń naukowych, które dzisiaj w zarozumiałości swojej za pewniki uważacie. Główną przyczyną nie pojmiecie nigdy; ale wolno wam będzie zbadać niektóre jej skutki, określić ich doniosłość i wpływ jaki wywierają. Powróćcie do dawnego systematu, będziecie korzystać z niektórych przepisów, nie bacząc na to kto je odgadł i podał do wiadomości waszej. Tym czynnikiem niewidzialnym będzie duch wasz, uwolniony na chwilę z więzów cielesnych i przed którym w tej jedynej chwili drogi się rozjaśniają; tenże sam duch, który natchnął Newtona, stwierdzającego przez całe swoje życie wyrachowaniem to, co jedno mgnienie objawienia rozjaśniło przed nim; tenże duch, którego chwilowa możliwość zrzucania z siebie więzów cielesnych, trwoży ludzi nazywanych przez was geniuszami. A wszakże geniusze nie są niczym innym, tylko jasnowidzącymi na jawie. Dziś cała wasza mądrość zależy na tym, że zaprzeczacie temu duchowi, a w cielesnych jedyne objawach jego szukacie postępa.

— Więc sądzisz, zapytałem, że dzisiejsza cywilizacja ludzkości będzie szła nieprzerwanie przez cały szereg wieków następnych?

— Pojmuję twoją myśl, odrzekła jasnowidząca, a lekki uśmiech rozjaśnił na chwilę nieruchome rysy jej twarzy. Tak, długa i wytrwała praca daremna być nie może. Zapewne cywilizacja nie utrzyma się na tej drodze, na jakiej postępuje obecnie. Iść ona będzie nią przez pewien czas, ale doszedłszy do zapor, jakich ani działanie mechaniczne, ani nawet matematyczne wyrachowanie usunąć nie zdołają, musi wyszukać dla siebie innych kierunków, i znajdzie je. Daleki jednak ten czas jeszcze od nas, a nawet chwile jakie przy początku snu mojego dzisiejszego przepowiadałam, będą tylko dalszym rozwojem dzisiejszej materyjalnej cywilizacji, która musi dojść do możliwej swojej doskonałości, aby zmienić potem kierunek. W chwili kiedy myśl ludzka będzie tylko maszyną nakręcającą

się według pewnych kombinacji; w chwili kiedy płody umysłu odpowiadać tylko będą jakby na uderzenie klawiszów dowcipnego narzędzia; w chwili kiedy jedno kółko gdzieś w środkowym punkcie umieszczone, regulować będzie i urządzać cały bieg spraw człowieczych,—ludzkość opatry się, wstrzymać, zastanowi nad sobą i uzna że postępowanie dalsze w tym kierunku byłoby zgnębne, byłoby zmateryalizowaniem zupełnym tkwiącej w nas istoty Bożej. I to będzie epoka przetworzenia się myśli ludzkiej.

— Ale cóż jest, odezwał się ktoś inny, po za tą zasłoną, którą Stwórca Najwyższy umieścił przed nami, nie pozwalając nam jej uchylić? Czyli dojdziemy kiedy do zbadania źródeł życia i warunków w jakich ono się przetwarza?

Na to jasnowidząca nie chciała już odpowiedzieć, a ponieważ i tak posiedzenie, zbyt długo się przeciągało, użyła ją bardzo, pan F. postanowił ją obudzić.

Wyszliśmy wszyscy z tym przekonaniem, że... kawa ze śmietanką, którą pani B. nas ugościła, była bardzo smaczną.

OPOWIADANIA MYŚLIWSKIE.

Droga moja matko, ukochana Litwo! kolębko naddziadów moich! Chciałbym prawie ci tobie, o twoich lasach, o owych dzwiewicznych puszcach, które mi niegdyś byłaś pokryta. Znajdowały w tobie schronienie tury, zębry, niedźwiedzie, płochliwe sarny, owe gazelle litewskie, wspinały łosie, krwiożercze wilki i straszne dziki; bobry budowały swoje piętrowe domy; bursuki ryły sobie krzemieniste nory; wydry odbywały swe obfite posty na czterdziestofuntowych szczupakach lub linach; lotne kuny, jak spadające gwiazdy, przerzucały się po niebotycznych wierzchołkach twych jodeł; drapieżny rys, przebiegły lis, zapobiegali zbytecznemu rozmnażaniu się białych i szarych zajęcy; z tysiąca barci wywarzano przepyszne miody, które mi wznoszono toasty z turzego rogu; odziewano się w niedźwiedzie futra, spiano na łosich skórach, a miękko-jedwabne kuny ubierały w przepyszne kołpaki!.....

O moja droga, moja ukochana Litwo! jakże ty byłaś piękną i bogatą!

Jak człowiek, niszczyciel na tej ziemi wszystkiego, pragnąc przynajmniej zachować dla pamięci, co już zniknęło w naturze, pozbiierał w wykopalisk niespożyte kości mamuta, sposzył je grubymi drutami, i choć mu wiele zabrakło części, daje przecież rys tego przedpotopowego olbrzyma w szkielecie; tak dziś jeszcze białowieńska puszcza mnie więcej świadczy, jakie były litewskie lasy, nim z ostatnim boublisem (1), z ostatnim zębrem poczną należeć do przeszłości!.....

Przerzedniały twoje lasy, o Litwo! są wszakże jeszcze gdzieś ślady jeżeli nie olbrzymich drzew, to choć skarłowaciałych potomków potężnych praszczurów, co dają dotąd gościnny przytułek mieszkańcom królestwa zwierzęcego.

Jako myśliwy od młodości, pragnę opowiedzieć kilka moich tryumfów, które na myśliwych uczynią może niejaki wrażenie, a mnie w pamięci miłe wspomnienia obudzą.

I.

Polowanie na niedźwiedzia.

Było to, pomnę, w początku lutego 185*. Otrzymałem list od mojego sąsiada podkomorzego S., donoszący że w lesie jego osaczony jest niedźwiedź, a strażnik wie z pewnością legowisko jego; że oddaje, jeżeli mi się podoba, w bezpośrednie moje rozporządzenie spolewanie tego ostępu. List ten sprawił mi wiele radości. Miałem wprowadzić kilka sfor gończych; ale gdy niedźwiedź ów, jeszcze przed położeniem się swoim na zimę, (co zwykle następuje około św. Marcina) włóczył się w jesieni po moim lesie, psy nie tylko że go nie chciały prześladować, lecz z trwożliwym szekaniem uciekały do myśliwych. Udałem się przeto do pana B., zarządzającego dobrami hr. Potoczkich, z którym, mieszkając o miedzę, byłem w dość bliskich stosunkach; tam bowiem było kilkanaście sfor gończych, ułożonych jak to mówią do grubego zwierza, były wszelkie do tego porządku, były ściebie, byli doświadczeni dojeżdźczyciele i t. d. Gdy otrzymałem od niego przyrzeczenie żądanej pomocy, naznaczyłem dzień i punkt zebrania się przy gościńcu z Radunia do Wilna idącym, u cegieli, wezwałem wszystkich z sąsiedztwa myśliwych i zgromadziłem dostateczną liczbę pokliczy (2). Nie było już mnie snu, jak to mó-

wią. Dnia 2 lutego sam najpierwszy z moimi gośćmi i myśliwymi przybyłem na miejsce i udałem się do chaty leśnika; z nim obszedłem cały ostęp i oblamalem gałęzie, dla urządzenia obławy; za miejsce zaś strategiczne na rozstawienie strzelców, obraliśmy długą i prostą linią graniczną przekopanego rowu.

Lubo byłem już wprawny prześladowcą lisów i zajęcy, inna rzecz wszakże strzelać do zwierza drobnego, co jak błyskawica pierzcha po omylonym strzale, a inna zupełnie do niedźwiedzia, co raniony, zwykł się rzucać i mścić straszliwie na swoim zabójcy. Wtedy, jako debiutant w tym rodzaju polowania, zbyt mało jeszcze miałem doświadczenia.

Po powrocie z tej mojej wycieczki, znalazłem już wszystkich zgromadzonych. Łagodny i piękny dzień zajaśniał; mroźnik był suchy, 4 albo 5 stopni Réaumur'a, a piękne słońce lutowe, jak dawno nieogładany przyjaciel, pierwszemi po zimie błysnęło promieniami, które na wynioslejszych miejscach pozerwały już śniegi i sporemi plamami odkrywały ziemię. Wyruszyliśmy natychmiast w cichość i porządku dla zajęcia stanowisk; ja poprowadziłem myśliwych, a strażnik obławę. Otrzymałem też raport, że przybył jeden z najzapaleńszych myśliwych i oświadczył, że przez ciąg obławy ma zamiar przebywać w chacie leśnika, rozmyślił się albo wiem, (gdy się dowiedział że niedźwiedź jest ogromny,) iż takiemu niecywilizowanemu grubianinowi, co nigdy paznogi nie strzyże, niebezpiecznie byłoby stawić czoła. Dowcipny ten raport sprawił nam wiele wesołości i śmiechu.

Podczas drogi rozpytywałem się pana B. o jego gończych, a mianowicie jaki jest odcień między zwyczajnym gonieniem lisa lub zajęcia, a gonem niedźwiedzia. Powiedział że zna bardzo dobrze psy swoje i gdy ruszą niedźwiedzia, objawi to gwizdaniem w swoje świstalkę, którą ma zawieszoną na piersiach. Przybywszy na miejsce, począłem rozstawiać myśliwych, których zebrało się do czterdziestu. Jakkolwiek mały dół na linii bojowej, stanowiący wagę ostępu, wabił mnie, ażebym na nim obrał dla siebie stanowisko, przemogła jednak gościnność i postawiłem tam wujka mojego pana A. G. i towarzysza szkolnego sąsiada X. T., a sam na wynioslejszym miejscu stanąłem, które w położeniu tego ostępu stanowiło prawie górzystość. Ostęp w tym miejscu był gęsto zarosły, ale zato za rowem las rzedniał zupełnie.

Dałem hasło do rozpoczęcia obławy, które, z ust do ust telegrafowane, jak iskra elektryczną zajęty ostęp obiegła; słowo wyrzuczone w prawą stronę, w kilka minut przybiegło do mnie napowrót z lewej, i natychmiast stawił się dojeżdźczacz, stary typ dawnych myśliwych, na krępym żmujdzinie, w światło-zielonym kubraku, na którym na krzyż przewiesił z jednej strony rogową trąbę, z drugiej kordelas, z borsuczą ogromną torbą, w której czapkę swą schował. Przelatując po linii strzelców, przemawiał do niektórych: „nia puży panoczku, nia biary da serca, a stralaj jak do zajca.“ Wkrótce potężny pusty wystrzał dojeżdźczacza, który już wrócił w środek obławy, dźwięk kilku różnogatnych trąb i krzyki hałaśliwego ludu, związały się w łańcuch od jednego końca linii strzelców do drugiego. Spuszczone ze sfor gończe zaskomliły radośnie i po starych tropach zajęcy i lisów odzywając się, rozpoczęły, że tak powiem, tyralierskie szarżmycle. Powietrze było tak ciche, tak łagodne, że każdy głos pokliczy, każde uderzenie w drzewo, każde odezwanie się można było rozróżnić.

Nareszcie gon się rozpoczął, psy chwyciły widać na oko zajca, a że było sucho i nieco mroźno, gon ten jakoś niebardzo się lepił; psy ucinały, poprawiały... ale znać było iż dojeżdźczyciele inni im kierunek nadszły, wiodąc je ku wiadomemu legowisku. Wkrótce jeden pies donośnym głosem rozpoczął oszczekiwanie; psy inne ku niemu kupić się poczęły i zaryczało trąb kilka na niedźwiedzia, uderzając gęsto w jedną tylko nutę niższej oktawy... Wtém na linii strzelców przeraźliwe a przeciągłe gwizdanie, jakby wyruszającej lokomotywy, dało się słyszeć i odbiło się w sercu każdego myśliwego stanowca pewnością, że już psy doszły do niedźwiedzia. Głosy obławy podniosły się i poczęły być gęstszymi, a w środku ostępu ciągle wykrzykiwania: hu! hu! dojeżdźczaczów. Skupiły się w jeden punkt wszystkie psy i zajądło oszczekiwały. Nie chciał widać zwierz opuszczać legowiska, co podług dostrzeżeń myśliwskich jest dowodem, że atakowany nie stchórzy, że liczy na swoje siły i zapowiada rozpaczliwą walkę... Zrozumiał to stary dojeżdźczacz, doleciał natychmiast na koniu do szekającej psów zgrai i wypalił pustym strzałem z pistoletu nad legowiskiem, i hu! hu! ogromnym głosem zawołał. W tej chwili już nie oszczekiwanie, ale potężny gon zaczął się w ostępie rozlegać, a trąby mu wtórowały.

(Dokończenie nastąpi).

O basztach, murach i bramach STAREGO KRAKOWA.

Najdawniejsze daty dotyczące się wiadomości o wojennym umocnieniu Krakowa, przypadają na wiek XIII, na czasy panowania obu Leszków, a szczególnie Bolesława Wstydliwego. Długosz, Bielscy i Kromer dostarczają świadectw w tej sprawie. Bolesław Wstydlivy pierwszy rządnie (jak podają kroniki) wszystko miasto rozdzielił, rynek i ulice rozmierzył, gdy przedtem każdy się budował gdzie chciał; Leszek zaś Czarny murów, wałów i obrony Krakowowi przyznął. Wstydlivy i na zamku także porządek wojenny zrobił, co znów Kazimierz Wielki rozprzestrzenił, a Jagiełło murów dodał.

Pomijając tutaj owo umocnienie Wawelu, o samych tylko warowniach miejskich mówić będziemy.

Obrony te musiały być już pierwotnie zasadnie a porządnie zbudowane, kiedy w końcu XIII stulecia Tatarzy, a w XIV wieku Czesi, napróżno kusili się o zdobycie Krakowa. Podwójne mury wiazane basztami, baterye przybramne i przekopy napehione wodą, stanowiły główną obronę. *Wisła*, *Rudawa* i *Nieciecza* tak miały urządzone koryta i odnogi, że obiegały mury wszystkie, a utrudniały przystęp do warowni. *Rudawę* do oblania umocnień miasta sprowadził w XIV stuleciu sławnego imienia Mikołaj Gerlak hydraulic. Władysław Jagiełło rozporządził w tej sprawie (1401 r.), aby miasto urządziło i od strony wschodniej obieg *Rudawy* między murami. Aleksander Jagiellończyk zezwolił (r. 1306) na użycie w tym celu wód rzeki *Niecieczy*, która płynąc *Błoniemi*, w *Rudawie* się gubi. Przedmieście *Kazimierz* otaczała znów *Wisła*, złączona w okół przepokiem *Starą Wisłą* zwanym. Owo rozprowadzenie rzek tak było kosztownie i sztucznie uczynione, że mimo obfitości wody studzienniej, wodociągi i podziemne kanały dostarczały wody miastu i zamkowi. Dopiero szwedzkie wojny, co w połowie XVII wieku Kraków niszczyły, zatraciły owe porządki.

Rządy Łokietkowe i Kazimierza Wielkiego tak już ustaliły miejskie warownie, że w r. 1430 bezpieczne było miasto i jego składy towarów, jak skoro Kraków wtedy do hanzeatyckiego handlowego związku przyjęto. Do tej obronności przyczyniało się pewno i nieprzystępne z kilku stron położenie stolicy. Chociaż bowiem już od Kazimierzowskich czasów rznięto w okolo miasta rowy, wały sypano, robiono upusty i kanały, przecież w XV jeszcze wieku niecała okolica osuszona być musiała. Dość tu przypomnieć opowieść kronikarza o śmierci Jana Olbrachta. Gdy ten król konał, spieszył doń z Miechowa sławny lekarz Maciej. Przy prądnickiej karczmie tak mu się w bagnie zaryła kolasa, że mimo doprząжки ośmiu koni, ani ruszył z miejsca. Innej drogi nie było, lekarz wrócił, a król umarł tymczasem.

Później i blizkie otoczenie miasta wojenną obronę zyskało. Na początku bowiem XVII stulecia widzimy, prócz umocnionego Wawelu, dobrze strzeżonych murów i baszt, jeszcze polowe fortyfikacje, okrażające przedmieścia od strony północnej i zachodniej. Zygmunt III przyprowadził je do porządku w r. 1617.

Wiadomości o umocnieniu Krakowa, zebrane w książkach Ambrożego Grabowskiego, pozwoliłyby podać nawet szczegóły dotyczące się tych spraw. O te jednak nie chodzi nam obecnie; owszem, pragniemy tutaj utworzyć ogólny tylko obraz. Cheemy uchronić się od drobiazgowości, a podać wszystko co z badań Grabowskiego i innych, w krótkim da się ująć poglądzie. Więć najpierw o murach i basztach powiemy.

Podwójny mur okalający miasto przerywały bramy i furtki, dla komunikacji z przedmieściami. Tych głównych wrót bywało zwykle 7, a najwięcej 9. Zwały się bramy wedle ulic jakie zamykały, czasami zaś od cechów którym ich obronę powierzano.

Brama grodzka (porta *castrensis* lub też *latina*) zamykała wjazd do miasta od strony przedmieścia Stradomia. Tu zewnątrz bramy płynęła *Rudawa* w kierunku ku wschodowi. Złotnicy mieli straż tych wrót.

Brama poboczna, u podnóża Wawelu.

Brama wiślna, u kończym ulicy tej nazwy, strzeżona przez cechy ślusarzy i kotlarzy.

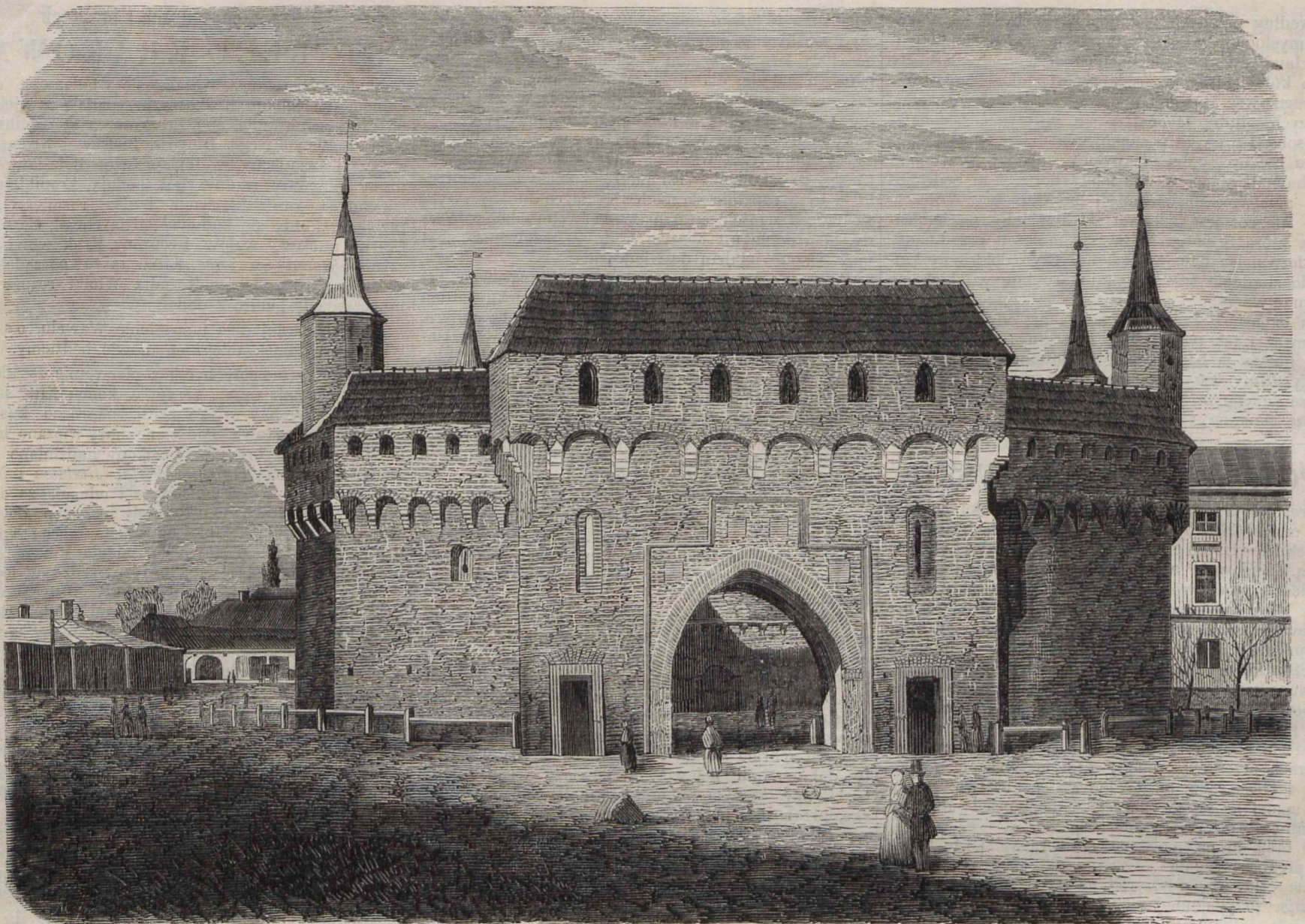
Brama szewska, czasami *furtką* zwana, miała bastyon. Garbarze i białoskórnicy pilnowali jej.

Brama stawkowska, z szanecem przedmurnym a z ludwisarnią obok. Stawał tu cech krawiecki.

Bramy floryańskiej bronili kuźnierze.

Brama mikołajska, także *furtką* zwana, miała wysoki szanec przedmurny. Rzeźnicy strzegli jej.

Brama nowa, inaczej *rzeźniczą* nazywana, stała niedaleko ulicy mikołajskiej, a piekarze mieli ją w obronie.



BRAMA FLORYŃSKA W KRAKOWIE. (Rysował z fotografii Cegliński.)

Brama żydowska, zwała się także *furtką św. Anny*, a zamykała żydowską ulicę.

Grabowski, czerpiąc wiadomości z archiwum miejskiego, przywodzi lata kiedy się wzmianki o bramach owych znajdują. I tak, o bramach *nowej* i *mikołajskiej* są daty z XIV wieku, o innych zaś z XV stulecia. Nie powtarzamy tych cytów, bramy bowiem powstały razem z murami, zatem wtedy tylko byłyby ważne daty restauracji i przebudowań, gdyby zabytki owe dotąd istniały, a nam więcej chodzi o ocenienie stylu ich budowy i wskazanie czasu powstania.

Rondelle, belluardy, czyli *baterie przedmurne* wysunięte na zewnątrz, owe *szanice* o których wspomnieliśmy przy bramach szewskiej, sławkowskiej i mikołajskiej, zapamiętał jeszcze Grabowski, a przytacza będące na nich napisy, na pamiątkę zwycięstw kładzione.

Każda brama miała zwykle podwójne, wewnętrzne i zewnętrzne wrota. Prócz armat, strzegły przystępu zwodzone mosty.

Obok pałacu biskupów, a nawet przy prywatnych

domach kanoników pod zamkiem, w czasach pokoju wybijano często w murach furtki, dla komunikacji z przedmieściami. O te nadużycia częste toczyły się spory z władzami miejskimi; a gdy się na wojnę miało, zwykle pracowali murarze nad zamurowaniem owych wylomów. Konstytucya nawet w r. 1644 poleciła zniesienie tych furtek. Do murów przypierały w różnych miejscach domki ubóstwa, które czasu wojny burzono. Wiele jest uchwał radzieckich (na przykład z roku 1644), mocą których surowymi karami zmusza-

no do zniesienia w krótkim czasie zabudowań wśród murów skleconych. Pomiedzy znów zewnętrznym a wewnętrznym murem, były aż po ostatnie czasy ogrody, długie a wąskie, bo zaledwie w międzymurzu od 15 do 20 łokci szerokie. Już od XVI wieku są ślady iż ogrody owe trzymali w czasie pokoju dzierżawą rajcy, lub je też nadawano dobrze zasłużonym. W pocie tych dzierżawców spotykamy nawet słynne i znane nazwiska, jak: Justa Decyusza, Piotra Danigiela, Salomona, Stanisława ze Sprowy wojewody ruskiego i innych wielu.

Przy bramach mieszkali łucznicy, kusznicy i pla-

tnerze, a szlifierze igieł mieli obyczaj siadywać u wrót i tam rzemiosło swoje czynić.

Prócz Krakowa, i przyległe mu przedmieście Kaźmirz miało (jak wspomnieliśmy) własne warownie, oblane przekopem Wisły. Mury te od r. 1422 istnieć poczęły. Jeśli ufać można wizerunkowi Krakowa (z r. 1493) zamieszczonemu w kronice Schedla, ze 30 wież wiązało okolne mury Kaźmirza, a kilka zwodzonych mostów do bram prowadziło. O trzech z tych bram wiemy, jak o *glinianej*, *wiślanej* i *skawinińskiej*. Szczęty zaś dawnych murów dochowały się od strony stariej Wisły, obok bóżnicy *Kupa* zwaniej. W przywileju znowu lokacyjnym przedmieścia Kleparza, wydanym w roku 1366 przez Kaźmirza Wielkiego, czytamy: iż wolno jest kleparskim mieszczanom miasto swoje murem otoczyć. Nieu miem orzec, czy Kleparz korzystał z prawa tego.

Baszt 46 otaczało Kraków. Liczba ta od drugiej połowy wieku XVII zmniejszać się poczęła, tak iż w r. 1739 było ich już tylko 39, a następnie ciągle ubywało. Wieże owe występowały na zewnątrz murów, a służyły szczególnie do rażenia bocznym ogniem

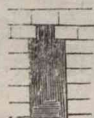


Fig. 7.

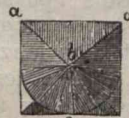


Fig. 11.

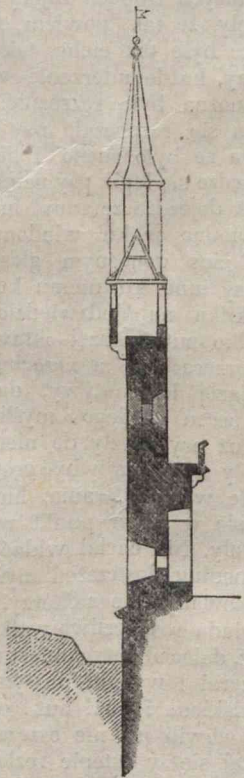


Fig. 3.

nieprzyjaciela, gdy pod mur podstępować usiłował. Kształt miały najzwyczajniej wieloboczny lub okrągły: czworobocznych zaś kilka tylko było. W narożnikach wiązano mury kamieniem, a ściany z czerwonej układano cegły; dachówka okrywała wysoko strzelające dachy. W otoczeniu tych wież płonęło miasto czerwienią, gdyś zdala doń przybywał. Na basztach bywały godła Polski, napisy lub obrazy świętych, bądź na murach malowane, bądź rzeźbione z kamienia. Z baterji i z okien w basztach wyglądały armaty. Z każdej wie-

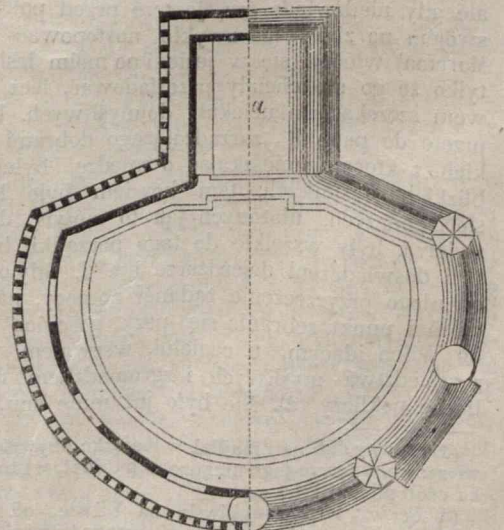


Fig. 2.

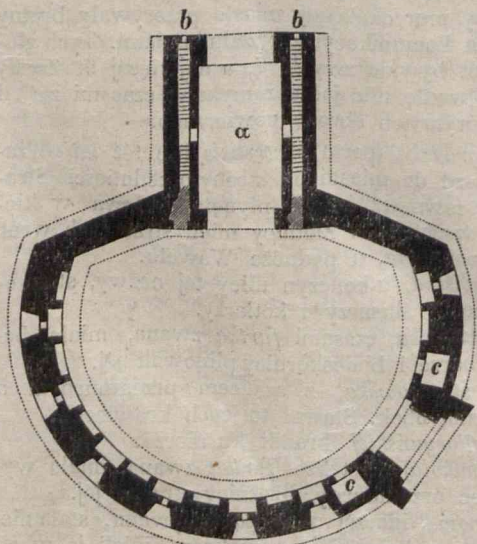


Fig. 1.

ży było w pośrodku jej wysokości wejście na galerię, od strony ulic poniżej zębów murów obiegające, gdzie strażę dział pilnowały. Nazwy dawano basztom zwykle od miana cechów które ich broniły. Gdy zaś jedne cechy upadały, lub się zmniejszała liczba czeladzi, wtedy innym straż wież poruczano;

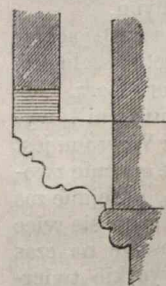


Fig. 5.

nia te zwano *maclochami*. Bywały też w wieżach spiżarnie czasu pokoju.

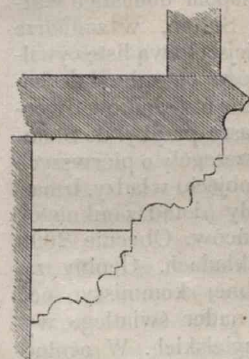
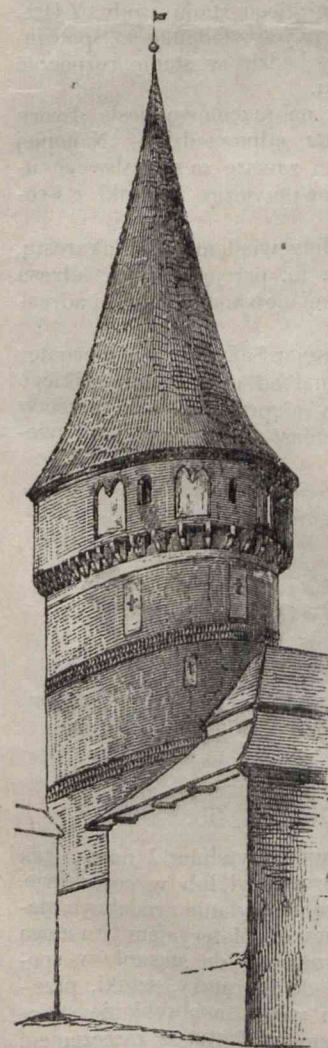


Fig. 4.

Grabowski w książkach swoich (*Zabytki Krakowa i Skarbnicza*) cytuje mnóstwo dat dotyczących się to stawiania, to znów restaurowania baszt różnych. Naturalnie że gdy czas i wojny niszczyły jedne wieże, to wznoszono nowe, lub odnawiano zruinowane. Daty więc byłyby interesujące wtedy, gdyby baszty istniały; wzmianki bowiem owe pomogłyby do zbadania kiedy które części budowli lub ich ornamenta powstawały. Dziś zapisany przed wiekami wydatek na fabrykę zabudowań warowni, martwą pozostał cyfra. Przecież w tych zapiskach Grabowskiego i w dawnych widokach Krakowa, takich jak Schedla z XV wieku, lub Mariana i Fischera de Jonge z XVI stulecia, pozostał piękny materyał dla odbudowania pędzlem dawnego Krakowa. Dochowały się szczątki

Fig. 9.
Baszta pasamoników.

żyły do ich zamknięcia, gdy jazda nieprzyjacielska do miasta wpadała. Łańcuchy owe zaprowadziła już ordynacja obrony miasta w r. 1421. Niedawnych nawet sięgając czasów, mamy plan Krakowa z zeszłego stulecia (dołączony teraz do nowego wydania *Klejnotów*

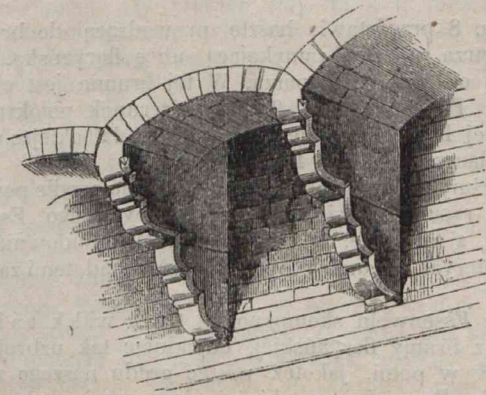


Fig. 6.

Pruszcza w Bibliotece polskiej), na którym jeszcze zaznaczone są mury, okopy i baszty. Gdyby się malarze wzięli do uprzytomnienia tych miłych z przeszłości obrazów, byłoby to zarazem dotykającym studjów archeologicznych pożytkiem i żywym odtworzeniem zabytków minionych stuleci.

Wracając do rzeczy naszej, przejdźmy do podania wiadomości o obronie murów.

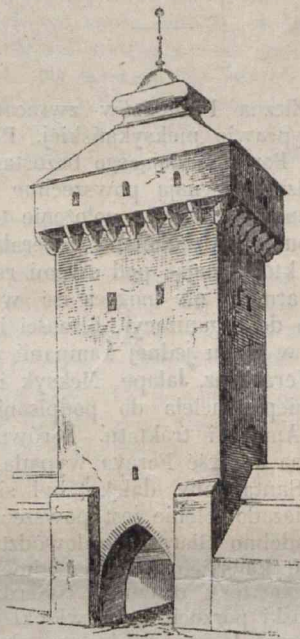


Fig. 8.

Baszta floryńska.

Pierwszym piśmiennym śladem rozdziału straży bram i baszt pomiędzy czeladź cechową, jest ordynacja z r. 1414, a późniejszych dochowało się wiele.

Te uchwały radzieckie przepisują szczegółowo czynność każdego, kto winien był stawać do obrony miasta w czasie napadu. I tak, gdy nadeszła wieść o zbliżającym się nieprzyjacieli, trębacz miejski, uderze-

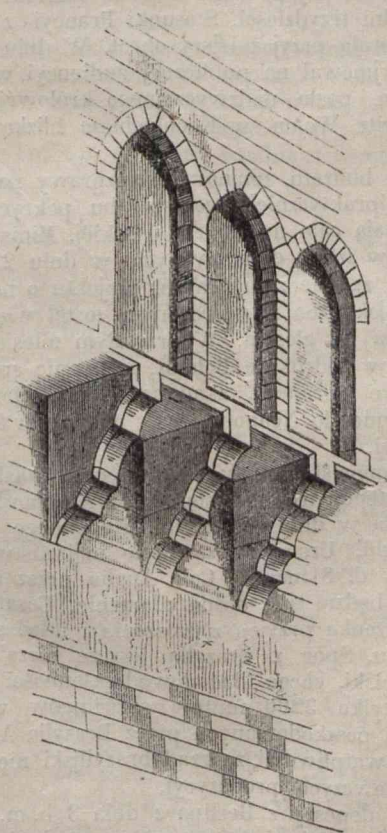
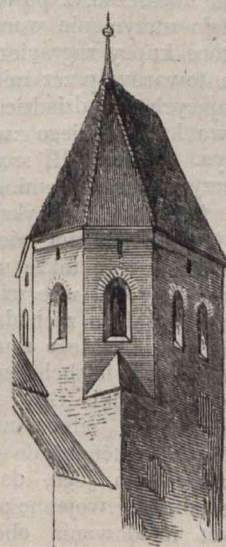


Fig. 10.

nieniem w miedzianą trąbę, dawał za rozkazaniem burmistrza i rajeów hasło do obrony. Trąbił on z czterech stron na wieży ratusznej pieśń *Bogarodzica*, tak iż trzy więrsze wypadały na stronę każdą. Na znak onego potrąbienia biegł wnet każdy mieszczanin z czeladzią, w zbroi a z bronią. Gromadzili się do dziesiątników swoich, a z tymi stawali w pocztach przed hetmanami, których stanowiska i porządek pochodu ordynacja oznacza. Takich hetmanów czterech było w tyłach dzielnic miasta, zaś po jednym na każdym jeszcze przedmieściu. Ci mieli oddane do obrony części murów ich poruczone straże.

Fig. 13.
Baszta cieśli

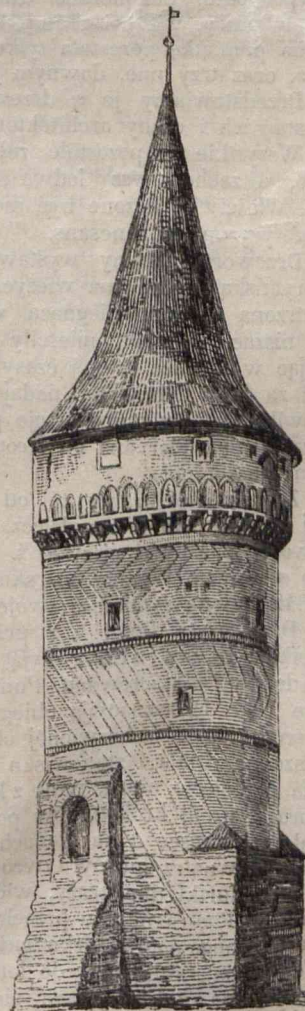
Kiedy tak na dane hasło ochotnie stawało mieszczaństwo krakowskie do obrony stolicy, to też ufali mężtwu jego królowie, gdy na wojny z rycerstwem ciągnęli. Dochowało się odezwo kilka, w których straże Krakowian oddają królowie tron swój i skarbiec koronny, ciała świętych patronów, obrazy cudowne i zasłużonych groby. Upominają ich w tych słowach pożegnania, aby doświadczonem mężtwem klejnotów Krakowa bronili.

Lubo czasu potrzeby wszystka ludność grodu broniła jego całości, przecież samych ćwiczonych w wojennem rzemiośle bywało zwykle kilkanaście tysięcy. I tak, już po przeniesieniu stolicy do Warszawy, w połowie XVII wieku (w r. 1648), gdy Kraków podupadł, jeszcze przeszło 9000 zbrojnych pilnowało murów. Co godzina zwykle otrębywaniem z baszt dawały sobie strażę znaki czujności. Mieszczaństwo ćwiczyło się w robieniu bronią i celowaniu armatą, a popisy odbywało na lustracyach i okazach, około święta Bożego ciała. Processya bywała zwykle jakby tryumfalnym zbrojnych cechów pochodem.

Utrzymywało też miasto piechotę swoją, w barwę odzianą. Ta po roku 1797 tak zmarniała, że wtedy było już ledwo kilkunastu żołnierzy, których pospólstwo *śledziami* zwało, a w ruderach baszt mieszkali.

Z zapisek Grabowskiego ułożyłby się dało obliczenie (od XVI wieku począwszy), ile bywało broni na murach, w basztach i w zbrojowni miejskiej. Różne nazwy tej broni czekają na umiejętne objaśnienie jej użytku. Zbierało się owych zapasów wojennych niemało, jak skoro prócz nakładów na broń czynionych z funduszów miejskich i z kass cechowych, jeszcze każdy co prawo miejskie zyskiwał, dostawiał do zbrojowni wedle przepisu kilka sztuk różnego oręza. Gdy Kraków w r. 1528 gorzał, to około 100 strzelby na murach stopniało. Rychno schody naprawiono, a wtedy zbrojownię zbudowano. Cechy Kazmirza, mając oddzielne prawo miejskie i swoje warownie, miały też i składy oręza. Już z r. 1390 są ślady o uzbrojeniu Kazmirza.

Kraków miał nadto własną odlewnię dział, w okolicy sławkowskiej bramy, na co są świadectwa z XVI wieku. Około r. 1518 magistrem tej roboty był ów Jan Behm, eo dzwon Zygmunta ulal. Przełożony miejski nad armatą zwał się *bombardarius*. Prochownia wraz z młynem prochowym istniała w Czajowicach (przy Ojcowie) i w Zielonkach podobno.

Fig. 12.
Baszta stolarzy.

Baszty, mury i wały naprawiane były częścią przez cechy które ich broniły, częścią przez ogół mieszczan. W roku *np.* 1659 rozporządzono: aby każdy kto ma kamienicę, taką długość okopu sporządził, jaką szerokość dom jego zajmuje.

Konstytucje z XVII wieku obmyślały często ulgi dla mieszczan, z powodu ciężarów jakich im przyrzeczono utrzymanie warowni. Szły więc na to opłaty, które kupcy zagraniczni płacili od składów i przewozu towarów przez miasto; także połowa mienia umierających bez dziedziców. Nadto czopowe z województwa krakowskiego zwiększało fundusze na fortyfikacje. Zygmunt III szczególnie te dochody obwarował przywilejami swemi.

Obowiązek zamykania bram na noc należał do tych, którzy najpóźniej miejskie prawo zyskiwali. Podejmowali się tego także ubożsi, za uwolnieniem od opłaty myta. Bywali wreszcie i osobni stróże wrót (*portulani*). Zwykle o zachodzie słońca dzwoniło w mieście, na znak bliższego zamykania bram. Po oddzwonieniu, podoficerowie obchodzili wszystkie i zawierali je na zapory i kłódki. Gdy zaś podchorążowie zrewidowali zamknięcia, odnoszono klucze na noc do burmistrza. Nikt też potem aż do świtu, bez zbudzenia burmistrza i zezwolenia jego, do miasta wpuszczanym nie był. Ostrożności wojenne praktykowano w tej sprawie; nawet meldowania obcych w mieście nocujących po gospodach, w XVII już wieku ściśle przestrzegano. Ktoby przez mury po zamknięciu wrót przeszedł, ulegał karze srogiego więzienia.

Szlachta przykryła sobie te przepisy, a zżymała się na konieczość prośszenia burmistrza o pozwolenie przejazdu nocą przez bramy. Chcieli uzyskać dla siebie choćby prawo dowolnego przebywania bramą *poboczną*, pod zamkiem będącą. O to częste bywały spory. Jasne to z wielu zapisków i obostrzeń, a szczególnie z ordynacji króla Stefana, przepisujących w roku 1579 porządek otwierania i zamykania bram. Także dochowała się w tej sprawie korespondencja biskupa Trzebieckiego, ujmującego się w r. 1668 za miastem do sądów kapturowych.

Już od r. 1800 poczęto dawać pozwolenia rozbierania murów i baszt na materiał budowlany. Sprzedaże te ruder warowni rozpoczęły się za pierwszego rządu austriackiego w Krakowie; następnie burzył rząd księstwa warszawskiego; wreszcie do senatu rzeszy spoliczono dokonano dzieła. Po r. 1823 już zniknęły mury, wieże i bramy, zastąpione aleami drzew, a na pamiątkę pozostała tylko brama i baszta floryańska, oraz trzy inne, dawnym jeszcze murem złączone.

Przedstawiamy je w drzeworytach, które zarazem postać ich i cechy architektoniczne okażą.

Wszystkie te pozostałe zabytki należą do wieku XV, a zachowawszy ledwo ślady stylu ostrołukowego, właściwiej liczone być mogą do epoki przechodniej z gotycyzmu w renesans.

Drzeworyt główny wystawia, rondel czyli bramę floryańską, siedmioma wieżyczkami zwieńczoną, a opatrzoną galerią biegnącą w okół. Na galerii tej i w niszach dolnych, mieściły się działa. Bielski, opisując w kronice swojej czasy trwogi przed Wołochami za Jana Olbrachta, podaje pod r. 1498, iż w te chwile Kraków mury swoje poprawił. Wtedy stanęła brama św. Floryana od strony Kleparza, a Rudawę tam puszczone.

Zachowanie bramy tej od zniszczenia i umiejętnej jej zrestaurowanie zawdzięcza Kraków pilności i gorliwości o zabytki ojczyste ś. p. Karola Kremera. Jego staraniem i pracą odzyskała brama floryańska w r. 1842 dawną świetność swoją.*

Drzeworyty fig. 1 i 2 przedstawiają plan całego półkola bramy, wraz z szczytą występującą ku miastu, a do baszty skierowaną. Punkta kropkowane na planie (fig. 1), zaznaczają obieg galerii; białe miejsca wśród czarno zabarwionej objętości muru, wskazują nisze na działa i stanowiska straży. Figura 3 zaznacza przecięcie muru, wraz z kształtem wieżyczki. Figura 4 profil kroksztynów podpierających szczyt galeryi. Miejsce *a* na planach oznacza szczyt ku wejściu wewnątrz murów zwróconą, gdzie w punktach *b* *b* są furtki dla straży, widne na ogólnym widoku bramy. Figura 5 daje przecięcie kroksztynów występu (zwanego po francuzku *machecoulis*, a po niemiecku *Fallschirm*), służącego do lania ukropem lub wrzącą smołą, na wdzierającego się już nieprzyjaciela. Te widne są na froncie występu (patrz drzeworyt główny) i z boków. Figura 41 okazuje plan dachowego stolca wieżyczek, zaznaczonych na planie (fig. 2). Figura 6 oznacza rysunek zewnętrznych kroksztynów galeryi; zaś fig. 10 także kroksztyny wewnątrz obiegające. Figura 7 otwory strzelnicze w wieżyczkach. Drzewo-

ryt fig. 8 przedstawia basztę prowadzącą do bramy z wnętrza miasta, zamykającą ulicę floryańską, widzianą od strony Kleparza. W tej bramie jest obraz N. M. Panny. Figura 9 daje wizerunek półokrągłej ceglanej baszty pasamoników, zaś fig. 12 takiżże wieży stolarzy, a fig. 13 baszty cieszli.

Daliśmy te szczegóły architektoniczne wedle pomiarów i rysunków wiedeńskiego budowniczego Essenweina, z tą myślą: że posłużą znawcom budownictwa za materiał do umiejętnych studyów nad temi zabytkami.

Pan Essenwein skomponował także widok na Kraków z bramy floryańskiej, odgadując tak uzbrojenie murów w pełni, jakoteż postać grodu naszego z XV stulecia. Rysunek ten objaśnia rozprawę napisaną o nim w piśmie wiedeńskim: *Mittheilungen der K. K. Central-Commission zur Erhaltung der Baudenkmale*. Rocznik II z r. 1857, Nr. 12.

Józef Lepkowski.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

6 marca.

Uwaga publiczna Francuzów zwracać się znowu zaczyna ku wyprawie meksykańskiej. Powolne działania generała Forey, żądającego bezustannie nowych posiłków, budzić zaczynają powszechne zadziwienie. Opinia publiczna porównywa położenie tego dowódcy i jego korpusu, z działaniami generała amerykańskiego Scotta, który mając pod swemi rozkazami daleko mniejszą armią, nie mogącą iść w porównanie z francuzką co do organizacji, bitności i karności, umiał wszakże w ciągu jednej kampanii pobić Santa-Annę, wziąć Vera-Cruz, Jalapę, Meksyk i w trzy miesiące zmusić nieprzyjaciela do podpisania nader korzystnego dla Ameryki traktatu. Porównanie to tym mniej jeszcze na korzyść Foreya wypada, że Meksyk pod rządami Santa-Anny daleko był silniejszym od dzisiejszego. Niezadowolenie jest powszechne, tak dalece, że już podobno ofiarowano dowództwo jednemu z generałów afrykańskich, lecz ten odmówił tego zaszczytu. Niektóre dzienniki twierdzą nawet, że gabinet francuzki porzucił swe widoki na Meksyk i czeka na pierwsze lepsze zwycięstwo, aby wycofać się z honorem z całej tej wyprawy. Podróż cesarzowej do Rzymu, według zapewnień dobrze uwiadomionych dzienników, odłożona została do maja. Przyczyną tego odroczenia ma być niezadowolenie i zniechęcenie rządu francuzkiego, jakie nastąpiło z powodu raportów księcia de la Tour d'Auvergne. Gabinet rzymski nie myśli o żadnych reformach, nawet i te które rząd francuzki prawie już zapowiedział, ad feliciora tempora odroczone zostały. Ztąd kwasy i zniechęcenie się posła, który prosić miał o odwołanie. Rząd francuzki odmówił tej prośbie, udzielił wszakże księciu urlop na dni trzydzieści. Stosunki Francji z Hiszpanią przybierają przyjaźniejszy obrót. W dniu 3 b. m. cesarz przyjmował na publicznej audiencji w pałacu tuileryjskim, posła nadzwyczajnego królowej Izabelli p. de Isturitz. Wojna w Kochinchinie blizką jest ukończenia.

Kwestya budżetu, mianowicie rozprawy nad obmyśleniem najpraktyczniejszego sposobu pokrycia deficytu, skupiają całą uwagę izby włoskiej. Minister skarbu podał w izbie deputowanych w dniu 25 lutego objaśnienia zgodne z motywami projektu o nowej pożyczce. Projekt ten zatwierdzonym został większością 204 przeciw 32 głosom. W przyszłym miesiącu król udaje się w podróż do Bolonii, następnie spotka się z synem we Florencji, zład na fregacie Maria-Adelaida odplynie do Neapolu i cały miesiąc w tém mieście zabawi.

Naród angielski zajęty jest obecnie zaślubinami księcia następcy tronu. Księżniczka Aleksandra duńska opuściła w dniu 26 z. m. Kopenhagę i udała się do Anglii. Uroczyste zawarcie małżeństwa odbędzie się w d. 8 marca. Cała Anglia przez dwa dni obchodzić będzie to radosne zdarzenie. Cesarz Napoleon z małżonką przyjęli zaproszenie i udać się mają do Londynu. Spór z Brazylią jeszcze niezatwiony. Rząd angielski, chcąc dać dowód skłonności do zgody, żąda tylko 3200 funtów szterlingów wynagrodzenia dla poszkodowanych przez Brazylią Anglików. Nie ulega wątpliwości, że rząd brazylijski nie odrzuci tak pojedynczych propozycji.

Według depezy z Berlina z dnia 3 b. m. izba deputowanych zatwierdziła wszystkie modyfikacje budżetu przez komisją zaprojektowane. Ministrowie

żywo bronili żądań gabinetowych. Na posiedzeniu izby panów projekt do prawa w przedmiocie powiększenia funduszu dla inwalidów przyjęty został bez rozpraw. Uchwałę izby deputowanych odrzucono. Gazeta Kreuz Ztg. mówi o prawdopodobieństwie zamknięcia posiedzeń, inne wszakże dzienniki przeczą tej wieści. Książę następcy tronu wyjechał do Londynu.

Zdawna oczekiwana odpowiedź cesarza austriackiego na propozycje przedstawicieli komitetu szolnokiego, podaną została przez Oester. Gener. Korr. Odpowiedź zredagowaną jest w tonie stanowczym i wyraźnie oświadcza że unia Siedmiogrodu z Węgrami jest nateraz niewykonalną i nieprawną, oraz że obecnie zwołanym będzie tylko siedmiogrodzki sejm, o sejmie zaś wspólnym ani mowy być nie może. Pokazuje się więc że kwestya zgody korony z Węgrami jeszcze na czas niejaki odłożoną została. Dzienniki austriackie twierdzą, że w sprawie czarnogórskiej nastąpiła już dobrowolna zgoda. Turcy przystają na wybudowanie dwóch tylko warowni na linii wojskowej, zamiast szeregu blokhausów wzdłuż całej drogi, odstępując tym sposobem od pierwotnego swego zamiaru.

Ostatnie depezy z Konstantynopola donoszą o ważnym postanowieniu Abdul-Azisa. Sultan, w zamiarze zaprowadzenia oszczędności, zmniejszył swą listę cywilną o trzydzieści milionów piastów, ograniczył dochody sułtanek i oddalił znaczną liczbę urzędników dworskich. Wice-król egipski Izmael-basza przybył do Stambułu. Dzienniki podają zajmujące szczegóły o pierwszych czynach tego władcy. Zaraz po objęciu władzy, Izmael rozkazał otworzyć wszystkie szkoły (dotąd zamknięte), ku powszechnej radości mieszkańców. Obecnie 2000 młodzieży kształci się w tych zakładach. Ogólny zarząd oświecenia powierzono osobnej kommissji, pod prezydencją Edema-baszy, męża nader światłego, wychowawca szkół francuzkich i angielskich. W ogólności wice-król okazuje nadzwyczajną sprężystość w postępowaniu, obok sprawiedliwości i wrodzonej łagodności charakteru. Wieści o rozruchach w Albanii nie potwierdziły się wcale.

(*Ind. Belg. Patrie, Schles. Ztg. Jour. des Deb. Constit.*)

Ostatnie depezy. Vera-Cruz 1 marca. Wojska francuzkie stanowczo opuściły Tampico i Jalapę, spaliwszy poprzednio kanonierkę Lance, która nie mogła opuścić rzeki, z powodu niskiego stanu wody. Z Orizaby i Meksyku niema nowych wiadomości. Spodziewają się że generał Forey będzie w stanie rozpocząć oblężenie Puebli w marcu.

Paryż 3 marca. Cesarz na przemowę posła dworu hiszpańskiego p. de Isturitz, odpowiedział: „Najlepiej życzę królowej Hiszpanii, i zawsze za szczęśliwego uważać się będę, utrzymując przyjazne stosunki z królową.“

Wiedeń 3 marca. Według wiadomości z Bukarestu, na posiedzeniu w d. 2 b. m. przyjęto projekt adresu 52 głosami przeciw 5, i mianowano deputacją adresową.

Londyn 3 marca. Donoszą z Sajganu, że gubernator prowincji Vittolone otrzymał od cesarza annamskiego rozkaz rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich przeciw Francuzom; lecz tenże, zamiast wypełnić rozkaz, wezwał opieki Francuzów.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincji lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcji materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarogodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcji.

Panu F. Lemieszowi z Podlasia. Więrszowane przypisanie, przysłowie i rymowaną elukubracją bez tytułu odebraliśmy. Są to widać rzeczy pisane dla rozrywki, dla skrócenia sobie długich wieczorów zimowych, i jako takie mogą mieć wartość dla samego autora lub jego najbliższej rodziny; ogółu jednak publiczności takimi ćwiczeniami poetyckimi zaprzętać niepodobna.

(*) Podamy wkrótce może żywot ś. p. Karola Kremera i wizerunek jego. (Przyp. red.)

Z SUWAŁK DO AUGUSTOWA.

przez

ALEKSANDRA O.....

(Dokoniczenie).

Dziwne to lato było w roku 48**. W powietrzu zaległa cisza, rozwinął się jakiś szaro-fioletowy tuman i chwiejąc się leniwo, majaczył nad ziemią. Słońce przez tę posępną oponę przyswiecało blade. Ptastwo wcześniej niż zwykle przestało śpiewać. Zauważano że wróble i jaskółki nagle opuszczały zupełnie pewne wsie i miejscowości i przenosiły się do drugich, nawet niedalekich. Zielone zupełnie liście odrywały się od gałęzi i opadały bez szelestu. Psy wieczorami się od galezi po zagrodach. Jakaś tęsknota wszystkich ogarnęła, jakieś sny złowieszcze trapić lud zaczęły. I nagle jak grom gruchnęła wieść i wstrząsnęła jak gromem wszystkich: morowe powietrze grasuje.

Zacząli ludzie opowiadać, że widziano jakąś białą niewiastę, górującą głową nad lasy, siola i grody. Sunęła jak mgła wiatrem niesiona przez okolice, płacząc i lzy chustą ocierając—lzy krwawe. A było to morowe powietrze, cholera! cholera!

Ludzie pierzchać i chować się zaczęli po lasach i miejscach samotnych.

A były jeszcze wtedy w okolicach Augustowa zamierzcze bory, pełne czarnych ostępów, powaleni olbrzymich kłód próchniejących od lat kilkunastu pozawalane, zatracone ustronia i wyspy bezludne wśród jezior, porośnięte wiekustym drzewem. Tam to przed wojną, a następnie przed epidemią, kto mógł się chował. I wkrótce utworzyły się lesne tabory i obozowiska w tych milczących, zielonych otchłaniach. Niewygody i głód trapiły zbiegów z pola poświęceń i obowiązków, a cholera i tam ich dosięgła. A nikt nie śmiał oddać nawet ostatniej usługi tym, co pod jej straszliwym technieniem upadli. Uciekano tylko dalej, tabory przenosiły się gdzieindziej, ciała zaś pozostawiono na pastwę czerwiom i ptastwu leśnemu.

Cimoch nagle zjawia się w tych lasach i dobrowolnie pócyna pełnić obowiązki grabarza: własnymi rękami kopie doły i trupy w nie chowa. Dziwią się tułacze jego odwadze, z niejakim przerażeniem przypatrują się starcowi, gdy zjawi się wśród nocy z łopatą grabarską u ich ogniska, zasiądzie przy nim i lukę pali w milczeniu, wpatrując się całymi godzinami w płomień. Wiek sędziwy jego, smutne a dobrowolnie obrane zatrudnienie i pogarda niebezpieczeństwa, jakąś nadludzką czynią go postacią. Szanowano go, ale i obawiano się zarazem.

A tymczasem miasto Augustów, położone pośród wód rozległych, stało się strasznie igryskim epidemi. Dom przeznaczony dla zapowietrzonych stał pustkowiem, bo wszelki porządek, wszelka dbałość o dobro ogółu potargane zostały w obec osobistej każdego obawy. Kto mógł, uciekał do borów, kto nie mógł, zostawał i obojętnie patrzył na gnijące trupy w opuszczonych domostwach, na ludzi konających bez ratunku obok trupów. Oprawcy bosakami niekiedy wyciągali zmarłych z mieszkań i na plugawych swych wózkach wywozili za miasto.

Wieść o tej zgrozie przenika w głąb puszczy, i Cimoch uczuwa się powołanym tam, gdzie większa zachodzi potrzeba jego usług i większe grozi niebezpieczeństwo. Zjawia się też w Augustowie, zmarłych grzebie na poświęconych mogiłach, a zapowietrzonych zwodzi, lub na własnych przenosi barkach do szpitala. Tam wymyśla według swego przekonania lekarstwo i sposób kuracji: gorzałkę z pieprzem i taczanie na twardej deskach.

Jeżeli metoda niewysmienita, zawsze lepsza niż żadna. Wstąpiła prytém i otucha w nieszczęśliwych, na widok poświęcenia się i samozaprzania Cimochowego. Moc przykłądu podziałała i znaleźli się pomocnicy w tych smutnych zabiegach starca. Pod jego kierunkiem ustalili się rodzaj dozoru nad chorem, i ratowano się wzajemnie ile możliwości. A gdy epidemia utraciła swą pierwotną złośliwość, gdy ludzie powoli wracać zaczęli do domów i obowiązków, gdy miasto zaczęło się ożywiać i zaludniać nanowem, Cimoch, jako już niepotrzebny, usunął się dobrowolnie z widowni.

Na zachodnim krańcu Augustowa, w nędznej budce, wśród wdmym piaszczystej, istniał podówczas wizerunek upadającego pod ciężarem krzyża Pana Jezusa, wyrzeźbiony z drzewa modrzewiowego. Nikt nie pamięta kto go tam umieścił i kiedy. Walać się budkę podpierano, łatano deszczulką, ubierano w polne kwiecie; a zwykle jaki starzec—kalęka siadywał na straży przy niej i żył z jałmużny, którą mu po-

bożni dawali. W czasach gdy Cimoch usunął się z miasta, nikogo nie było, kto by czuwał nad budką; zasiadł więc przy niej starzec na dewocyi i żył jak owo ptastwo powietrzne i lilie wodne, co nie sieją, nie orzą, a żyją. Ojciec niebieski, co w podeszłe lata takimi siłami i tak wspaniałem sercem go obdarzył, czuwał nad jego siwą pochyloną głową, jako nad jednym ze swoich wybranych.

Po latach kilku Cimoch własnoręcznie, z drzewa zakupionego z szelągów rzuczanych mu z litości, wznosił kaplicę. Zabrakło mu jednakże środków na jej dokończenie. Puszcza się więc w świat, kwestuje cierpliwie, wraca i ukończywszy skromny ten przybytek, umieszcza na ołtarzu wizerunek upadającego pod ciężarem krzyża Zbawiciela, zapala przed nim światło i pielęgnuje je dzień i noc, zimą i latem, zamieszkując rodzaj przysionka prowadzącego do wnętrza kaplicy.

A tak ten tułacz nieznan nikomu z pochodzenia, ten orędownik i opiekun opuszczonego i nawidzonego przez epidemią miasta, ten ubożuchny fundator i budowniczy skromnej świątyni, w bogobojności pędzi dni swoje, pielęgnując światło na ołtarzu. Następnie obsadza dokoła kapliczkę wysmukłymi topolami i otacza parkanem. Lud raduje się, patrząc na te chwalebne czyny samotnika, kaplica słynie w okolicy, pobożnych przybywa coraz więcej, a lud, doznawszy łask, sławę miejsca świętego i czcigodnego Cimocha daleko roznosi. Na większą zaś chwałę Stwórcy, starzec stara się w wielkie uroczystości religijne w swojej kaplicy to wszystko odprawiać, na co wiedza jego i możność dozwalały, a co się odbywało natenczas po kościołach.

Kiedy to się dzieje, niejaki Szczerbiński, dziad wędrowny, świadom niepospolicie rzeczy kościelnych, zjawia się i zyskuje sobie gorącą przyjaźń Cimocha. We dwóch tedy opiekują się kapliczką, to bywało pieśni pobożne wyciągają przed ołtarzem, to siedząc na ławeczce gwarzą o dawnych czasach.

Ale z czasem kapliczka postarzała, osiadła, mech na nią wystąpił, topole przy niej wybujały, a Cimoch pędził przy niej swój żywot i powoli gotował się do wielkiej podróży do żywota lepszego... czerpiąc zapewne otuchę w wizerunku upadającego pod ciężarem krzyża Pana Jezusa, on, co tak godnie i długo krzyż swój dźwigał na świecie. Na kilka dni przed zgonem pierwszy i ostatni raz w życiu zachorował. Biędni ludzie co go przytulili, zmuszeni byli na ten cel sprzedać zapas świec woskowych przysposobionych do kaplicy, bo to był cały majątek chorego. Ale ratunek był już zbyt późny, bo Pan, co obdarzył Cimocha tak wspaniałym żywotem, w dniu 22 sierpnia 1856 roku powołał starego żołnierza na apel....

Miasto wyprawiało piękny pogrzeb swemu ulubieńcowi.

Ale dlaczegoż starca pochowano daleko od jego kaplicy? Dziś bujne ziele cmentarne porasta jego mogiłę, o której niewielu wie ludzi, a osamotniona kaplica zdaje się jeszcze węższą, zdaje się że coraz więcej osiada, kurczy się, czernieje i mech porasta.

Jakież to dzikie, przejmujące piosenki nuca wichry wędrownie w czeluściach kaplicy! jakże żałośnie jęczą topole, uginając się pod wichrami! jak ciężkie są westchnienia tego chóru sieroctwa i opuszczenia!...

Cześć ludziom prostym, wielkiego serca, cześć Cimochowi!...

Wracamy z Augustowa do Suwałk. Mój woźnica został niezmiernie zbudowany relacją jaką mu zdałem o Cimochu i jego kaplicy. Słuchał jej tak pilnie, jakby pierwszy raz w życiu, chociaż bez wątpienia wiele szczegółów było mu znanych. Ale wieśniacy lubią powtarzać to co miłują. Na zawdzięczenie opowiedział mi niemało cudów doznanych przez tych, którzy szczerze ofiarują się do owego świętego miejsca i ślubu uczynionego ściśle dopełniają.

— Ale jeden mój kum, ciągnął wieśniak, to jak ślub zламаł, to jego pan Bóg tak skarał, jak tego pastucha, o którym jest tu przypowieśćka.

— A jakąż to przypowieśćka?

— Ot, tak sobie, chłopska jedna przypowieśćka, niewarto i słuchać.

— Ależ przecie?

— Ot, powiadają co raz jeden pastuszek, pasący żywinę w borze, dojrzał na tego wysokiego drzewie gniazdo ptasie, a z niego wyglądały i cilkaly dycht nad samą jego głową ptasiuki. Ale drzewo nad podziw wysokie a gładkie było. Na samym czubie tyło gałęzie, a w gałęziach ono gniazdo z ptasiukoma. Co tedy

robiąc, mój pastuszek dawaj lézć na drzewo. Ale co podlézie ździebelko w górę, to zsunie się. A zachciało się jemu okrutnie tych ptasiuków. A tutaj choć usiądź i płacz, wlézć na drzewo nie może. A moje ptasiuki jak na toż, wyscibiają z gniazda łebki i cilkają. Co tedy robiąc, utrapiony mój pastuszek powiada: Panie Jezu Chryste, daj mnie wybrać te ptasiuki, a na chwałę twoję siedm piątek suszyć będą. Jak tyło on to powiedział, tak wziął i wlaż jak nie na drzewo. Siadłszy na gałęzi, wybiera ptasiuki z gniazda i scibający ich za pazuchę, powiada paskudnik: Ot! ciesz się Panie Jezu, jeżeli ja tobie choć jeden piątek będę poscił. Az wtém lamie się gałęź i mój pastuszek łomot jak duka (gruszka) na ziem. Co pobił się, to pobił, a i ptasiuki pouciekały, a leżący z tegiego bólu jeszcze powiedział jak na toż: Ot, ja tyło zażartował, a ty Panie Jezu już i naprawdę!

Przybywamy do Szczebry, pamiętnej dla mnie ze spotkania się z wymownym ekonomem, o którym było wyżej.

— Pan bo mnie pozwoli, ja zlatam tu do mojej kumy, co dla niej kupiłem w mieście przyprawy na trojanke, mówi do mnie woźnica, zatrzymując się przed karczmą.

— Na co?

— Na trojanke.

— Cóż to takiego?

— A to jak Pan Jezus obdaruje czyją żonkę dzieciątkiem, to w chorobie dają jej trojanke.

— A z czego ta trojanke?

— Ot, biorą różnych korzeni z dziewięciu szuflad, z doktor—apteki. Tam gałtu, tam cynamonu, tam goździka, tam kardemoni, tam pieprzu dłuckiego, pieprzu białego i drugih przypraw; napotém sypią te przyprawy do polewanego krużyka, kładą miodu, kamienia—pomocnika, ziela—urwanaica, ziela—stanowiska i pohibieli wie co jeszcze więcej, nalewają wódki i zalepiają dycht krużyk; potém w bochen chleba zasmarują i prażą w piecu, póki chleb nie upiecze się.

— I to dają chorym kobietom pić?

— Ehe, dają. Ale piją i chłopcy, jak który poderwie się, wólącąc co ciężkiego.

— A pomaga?

— Ot wola Boska, proszę łaski pańskiej, mówią co pomaga.

Kiedy tak rozmawiamy, a mój wieśniak dobywa torebki z wozu, zbliża się jakaś podziła wieśniaczka, z rozognioną trunkiem twarzą, i nagle zaczyna ścisnąć mego woźnicę, belkojąc:

— A mój ty złości, a mój ty srębrzysty, a mój ty dyamentowy kumie, a zmiłuj się, zróbcie mnie jedną łaskę; ja na was cały dzień tutaj czekała.

— Aże wy czego chceta odemnie? odparł nieukontentowany wyraźnie ze spotkania wieśniak, wyrrywając się z objęć swjej kumy.

— A toć wy byli dzisiaj u mojej syneski (synowej), jak wyjechali z panem do Jegustowa.

— No to co, co ja tam byłem?

— Tam was mój wnucelek tego się przeróżnił (przelakł), jak wy wesli do izby.

— A on czego miał się przeróżnić? Albo ja jaki dziwotwór, albo dziad żebrzusa, albo jaki ostatni? Takoz!

— No nie to, nie to, ale wy na niego krzyknęli, to się i przeraził.

— Krzyknąłem, bo wódkę z flaszki doł ukradkiem, wtedy jak ja z jego matką gadałem. Jak wy Boga nie boita się, uczyć dzieci pić wódkę!

— Powiadają co na robaki pomaga.

— Bodaj tak pies trawę jadł, jak to prawda. Ale taka już gałganska natura, co jak kto sam pijak, to chce żeby i każdy był pijakiem. No to co wam potrzeba odemnie? gadajta!

— A mój kumie serdeczny, nie złujta się tylo....

— No gadajta, co wam potrzeba odemnie?

— Zaraz powiem, tyło nie swarzta się. Dajta mnie oto ustrzydz krzynę waszych włosów, ja i nożyce przyniosła.

— Aże wam na co moich włosów?

— Coby chłopca pokadzić od przelęknienia. A i okapków ze świec kościelnych ździebelko dostałam. A chłopak, jak się was przeraził, to od samego rana do tej pory krzyczy i krzyczy jak utrapiony. Jak nie data krzynę włosów do pokadzenia, to będzie źle.

— To wy kadzicie włosami od przelęknienia? zagadnąłem znachorkę.

— Ehe! kadzim. Jak kto się zleknie, czy to człojecka, czy to jakiego zwierza, to trzeba ustrzydz sierści, lub zasie włosów, jeżeli to człojecka, i pospołu z okapkami od świec kościelnych pokadzić, to nie będzie chorować z przelęknienia.

Nie bez widocznego wstępu mój woźnica nieborak dozwolił babie ustrzydz z swęj głowy kosmyk włosów, wygadując przeciw tym co sami wódkę piją i jeszcze dzieci pijanistwa uczą. A kiedy baba odeszła, rzekł do mnie:

— Widzi pan, jakby ja nie dał babie moich włosów, a dzieciak Panie broń czego pomarł, pewnikiem powiedzieliby co przezemnie. Choroba i z temi babami! Tfu! do jasnego paralusza! Wieszniak niedługo wrócił i ruszamy dalej ku Suwałkom.

Wieczór był cudowny. Ze wsząd słycać elegie słowików. Z bagien dolata głos bąka, niby głębokie westchnienie nocy... i żałośnie, namiętnie chóry żab się rozlegają.

Na widok wystąpiły zastępy gwiazd i zadumany księżyc wytoczył się na stropyniebieskie.

— Czy widzicie te siwe plamy na księżycu? rzekłem, wskazując palcem na planetę.

— Eeee! niech bo Pan palcem na miesiąc nie pokazuje, to niedobrze.

— Dlaczegoż?

— Bo powiadają co kiedy kto na miesiąc i gwiazdy pokazuje palcem, to jego ojcy (rodzice) rychło pomrą.

— Dlaczegoż to?

— A Bóg raczy wiedzieć dlaczego, ale tak powiadają. A co tam na miesiącu te siwe znaki, to niech pan tylo dobrze się rozejrzy, to widać jak człojek bierze na widły drugiego człojeka. Powiadają co raz

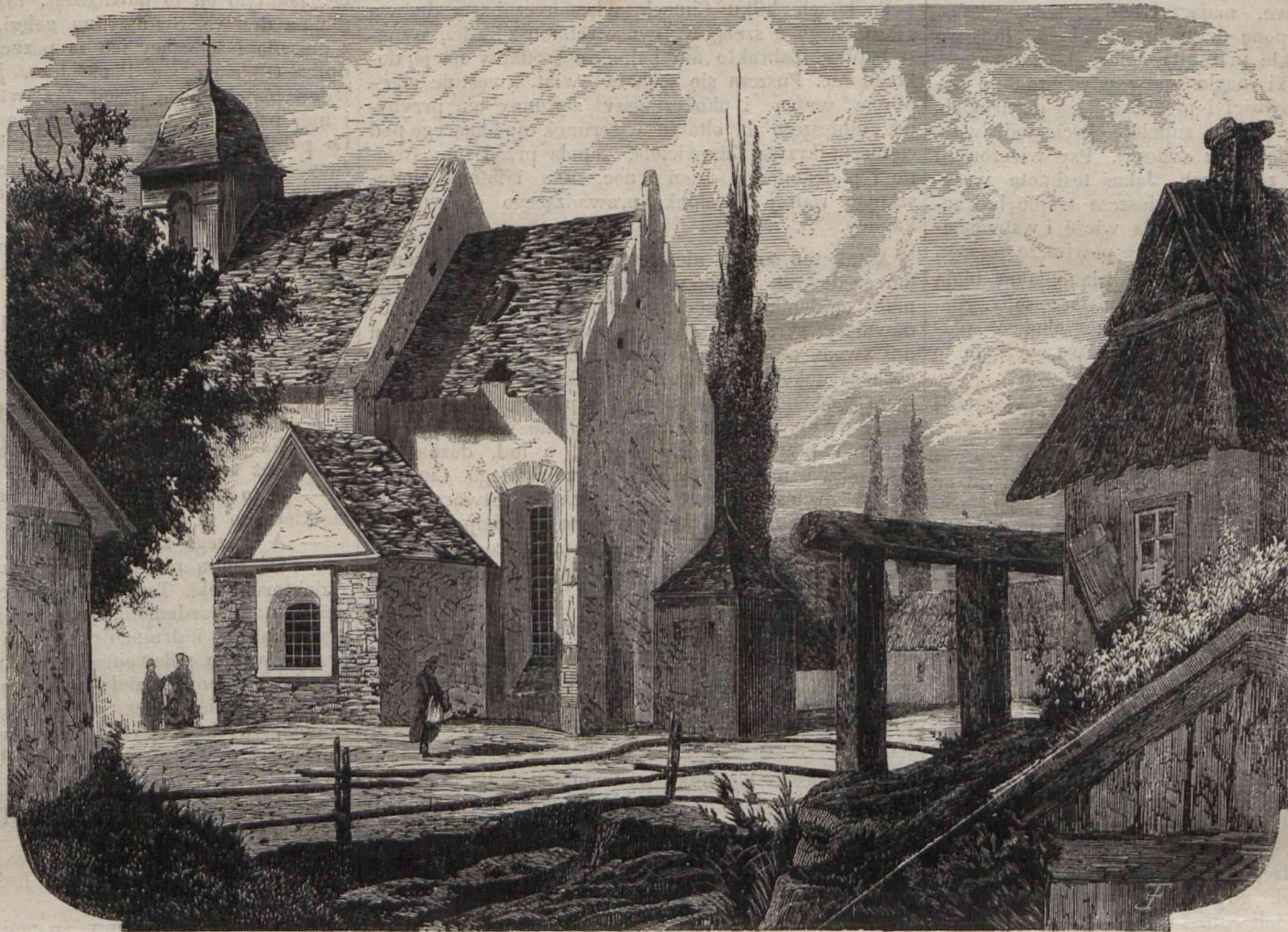
rodzony brat, powadziwszy się z rodzonym bratem, na widły go nadział z tęgiej złości, a Pan Bóg na miesiącu położył ten znak, coby ludzie nie dawali folgi złości swojej, a w złości coby jeden na drugiego się nie rzucal jak zwierz dziki.

— A gdzie gwiazdy co wy wozem nazywacie?

— A ol... A tamte, co to jak dwa rzędy mosiężnych

są dawnego pochodzenia. Jedna tylko część kapłańska, a raczej tylna jego sciana, w pierwotnym swym stanie pozostała. Rząd pruski w r. 1803 zniósł oo. franciszkanów w Wyszogrodzie i oddał ich kościół gminie ewangelicko-augsburskiej, która go do dziś dnia zajmuje; klasztor zaś, z wyjątkiem małej jego części oddanej na szkołę, stoi dotąd pustkami.

Kiedy owa świątynia była w posiadaniu wyznania rzymsko-katolickiego, słynęła ona z cudownego obrazu Zwiastowania Najświętszej Panny, w wielkim ołtarzu umieszczanego, który pobożną publiczność licznie na odpusty zgromadzał. Drugą osobliwością jego był tak zwany kamień św. Jaceka, na cmentarzu przy głównych drzwiach kościoła leżący, który według miejscowego podania był pamiątką cudownego zdarzenia z życia tego świętego. Podanie to głosi, że gdy św. Jacek, udający się wraz ze swemi towarzyszami w celu nawracania na wiarę chrześcijańską pogańskich Prusaków, przybył w r. 1234 nad brzeg Wisły pod Wyszogrodem i nie miał sposobu przepłynienia



KOŚCIÓŁ PO-FRANCISZKAŃSKI W WYSZOGRODZIE. (Rysował z natury Fabijański).

się na drugą stronę rzeki, tedy wezwał Boga na pomoc i uczynił cud, że suchą nogą wszyscy przeszli Wisłę. Później na znajdującym się po przeciwnym brzegu kamieniu klęknął apostoł, dla złożenia Stwórcy dziękczynnych modłów, a gdy powstał, ślady kolan i stóp jego wyraźnie odznaczyły się na powierzchni owego kamienia, który później na wieczną cudu tego pamięć obok kościoła złożono.

guzików u kapoty, to nazywają się kośniki. Ja to bo niebardzo znam się na gwiazdach, ale są tu takie ludzie, co każdą gwiazdę nazwać mogą. U nas bo znowu w prostactwie jest gadka, że każdy człojek ma swoją gwiazdę. Jak się kto narodzi, to nowa gwiazda na niebie się zjawi; jak kto pomrze, to jego gwiazda z nieba spadnie. To też te gwiazdy co z nieba spadają, to znaczą co gdzieś ludzie Bogu ducha oddali.

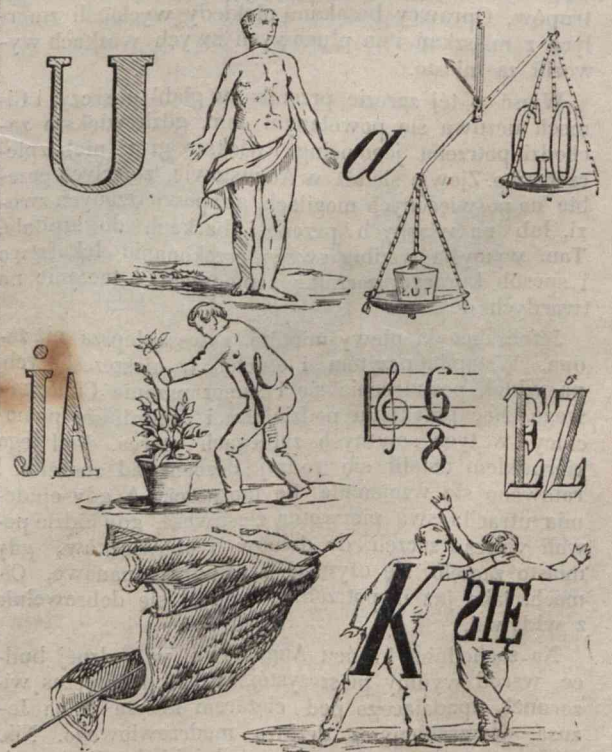
Rozmarzony myślami jakie we mnie obudziła ta wiara poetyczna naszego ludu, umilkłem i w zadumaniu głębokim ani się spostrzegłem kiedyśmy w Suwałkach stanęli...

KOŚCIÓŁ POFRANCISZKAŃSKI W WYSZOGRODZIE.

Na górzystym wybrzeżu nad Wisłą, pośród pięknej okolicy, leży starożytny Wyszogród, niegdys stolica oddzielnej ziemi w księstwie mazowieckim, będącej bezpośrednią własnością książąt od Ziemowita syna Konradowego pochodzących. Miasto było podówczas ludne, handlowe i przemysłowe, a słynęło z najwzborniejszych winnic w kraju, które się rozciągały na tém miejscu, gdzie teraz same zasy pyaszczyste. Dziś mało w niem już zostało nawet śladów dawniej świętości i zaledwie dwa kościoły, których wieze zdala widzieć się dają, na wzmiankę zasługują.

Za czasów kiedy Wyszogród wielu znacznemi gmachami celował, mieli tutaj także i księza franciszkanie swój kościół i klasztor, założony w r. 1320 przez Wacława książęcia plockiego, pod wezwaniem wszystkich świętych; lecz nie był zupełnie ukończony i miał drewnianą nawę, która się w r. 1661 w czasie pogorzezi spaliła. Na jej miejsce wystawili sami zakonnicy nową z cegły, a po jej odbudowaniu kościół w r. 1675 powtórnie pod tytułem Najświętszej Panny Anielskiej oraz s. s. Franciszka serafickiego i Antoniego z Padwy poświęcony został. Klasztor atoli przez cztery wieki stał drewniany i dopiero na schyłku siedemnastego stulecia wzniesiono go z muru. Ząd klasztor i kościół w dzisiejszym swoim kształcie nie

REBUS.

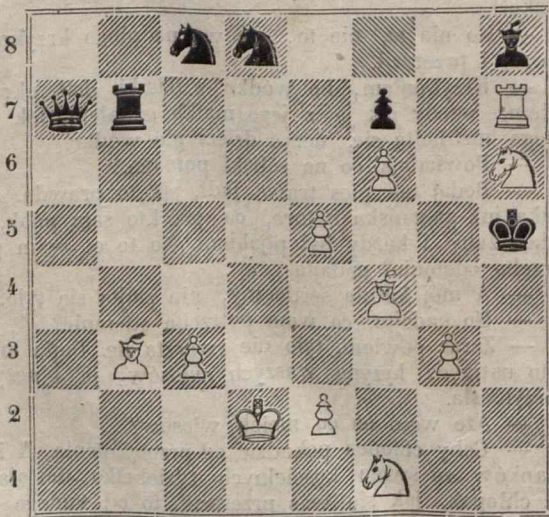


Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 179. Kto klin klinem wybija, ten ma ciężką głowę.

SZACHY.

ZADANIE CXLV.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem. Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 144.

Białe.

Czarne.

- 1) C4 — F4 1) D8 — E8.
- 2) E4 — D6 † 2) E8 — D8.
- 3) F4 — G3 3) D7 — C7.
- 3) D6 — F7 † odkryty i mat.